№ 39. 28. Września. 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Oświadczenie Redakcji.

Niespodzianie zaszłe okoliczności zmuszają Redakcję do zawieszenia dalszego wydawania „*Tygodnika Lwowskiego*". Dziękując przeto za udział wszystkim naszym szanownym Abonentom oznajmiamy zarazem tym, którzy już na *czwarte ćwierćrocze* przedpłacili iż zaliczki pieniężne, *na ręce Redakcji przesłane* każdej chwili na żądanie zwrócone zostaną.

Doniesienie teatralne. — Miłośnicy sztuki dramatycznej pragnąc podać dłoń bratnią nieszczęśliwym pogorzelcom miasta Krakowa, postanowili w przyszłym miesiącu, przedstawić na tutejszej scenie — Tragedją Juliusza *Słowackiego* pod nazwą *Mazepa* — która powszechnie z wielkim zapałem przyjmowana była w tłomaczeniu po teatrach zagranicznych. —

Prawdziwa przyczyna obojętności dla piśmiennictwa i umnictwa u nas.

II.

Powiedziałem w poprzednim artykule że prawdziwą przyczyną obojętości dla piśmiennictwa i umnictwa u nas jest brak *życia publicznego i oświaty narodowej*.

Życie publiczne zależy w tém, ażeby się cały naród, a przynajmiej część jego zajmowała czynnie sprawami narodowemi. Przeto tylko tam możemy mówić iż jest życie publiczne gdzie ogół narodu ma zarówno władzę prawodawczą jak i wykonawczą w swoim ręku (jak w Zjednoczonych Stanach Ameryki północnej) przezto iż wybiera z pośród siebie członków władzy tak prawodawczej jak wykonawczej.

Wreszcie i tam jest życie publiczne gdzie choć nie cały naród ma prawo wybierania urzędników i członków władzy prawodawczej (gdzie niema powszechnego głosowania) lecz znaczna część tegoż. W krajach gdzie na wybór władzy wykonawczej ogół niema żadnego bezpośredniego wpływu tylko na wybór władzy ustawodawczej, t. j. gdzie są tylko sejmy wybierane, i tam jeszcze można twierdzić iż jest życie publiczne chociaż znacznie uszczuplone. Nawet gdyby, jak w rosyjskiej Polsce, tylko niektórzy obywatele mieli prawo obierania z pośród siebie pewnego rodzaju choćby tylko honorowych reprezentantów, jeszcze i tam jest cień życia publicznego.

Lecz w naszym kraju, póki niewejdą w życie ani ustawy sejmowe, ani gminne, ani sądy przysięgłych, póki dyskusja i rozprawianie otwarte i poważne, nie dla czczej pogadanki tylko, o sprawach publicznych nie jest dozwolone, poty niemamy nawet cieni życia publicznego.

Ze zaś życie publiczne ma wpływ na wzrost lub upadek oświaty, a zatem i piśmiennictwa, o tem łatwo się przekonać przez doświadczenie, gdy tylko rzucimy okiem na te kraje, gdzie każdy obywatel lub przynajmniej znaczna część tychże ma udział w sprawach publicznych.

Życie publiczne podnosi i rozszerza w ogóle uobyczajenie w narodzie, przymusza rząd być moralnym i sumiennym, obudza patrjotyzm i tę tak

upragniona w Europie legalność t. j. szanowanie ustaw głosem powszechnym uświęconych *zarówno ze strony rządzących*, jak rządzonych. Lecz pominąwszy to, pociąga życie publiczne koniecznie większą czynność w piśmiennictwie za sobą; czytanie, jeżeli niczego więcej jak tylko dzienników, staje się dla mnóstwa ludzi, mianowicie dla tych którzy mają udział w tem życiu, dla członków izb, dla kandydatów na posłów lub do urzędów wybieralnych, niezbędną potrzebą. Dziennikarstwo zajmuje w życiu publicznem tak ważne stanowisko iż jest samo za siebie potęgą — tego dowodem jest jeżeli nic więcej, to tak skwapliwe i zacięte prześladowanie dziennikarzy przez nieprzyjazne im stronictwa lub rządy, owa zemsta wywierana na niektórych; a przeciwnie wyszczególnianie i wynoszenie do wysokich dostojeństw dziennikarzy przyjaznych rządom lub panującym stronnictwom.

Dziennikarstwo więc jest w życiu publicznem potęgą, jest jednym z żywiołów organizmu narodowego, czyni potrzebą czytanie, ożywia literacki i naukowy ruch nawet; bo powoduje jednych do uzasadnienia zdań wyjawianych w dzienniku tylko jako wyniki całego systemu naukowego lub całego zasobu oświadczeń, których w dzienniku rozkładać niemożna, tylko trzeba je zpisywać w dziełach: drugich powoduje wyjawienie samych rezultatów do czytania dzieł w których owe rezultata są uzasadnione, jeżeli chcą rozumieć dzienniki. —

To się rozumie że takie znaczenie nabywa dziennikarstwo i literatura wtedy, gdy się życie publiczne utrwali. Roku 1848 u nas niemożna tu brać za przykład, gdyż to była pierwsza frementacja z której dopiero mogło wybłysnąć prawdziwe życie polityczne. Wprawdzie doswiadczaliśmy już i wtedy poniekąd potęgi dziennikarstwa, ale miało ono jeszcze tylko wpływ jednostronny na pojedyńcze osoby. Na stronnictwa niemogło mieć żadnego wpływu, bo jeszcze właściwie niebyło żadnych stronnictw, nie wyjaśniły się zdania polityczne, i większa część ludzi sama niewiedziała jakie ma przekonanie polityczne, dla tego też czyniono wiele bez rozumu a rozumnego postępowania często niepojmowano.

Wtedy też miały te dzienniki znaczenie i wpływ które się zajmowały *sądzeniem* osób i uczynków, o zcieraniu się zdań i rozprawianiu mowy być nie mogło· Dzienniki które chciały pewne zdania rozbierać, niemogły być zrozumiane, bo po większej części nieznano podstaw naukowych lub historycznych z których one wychodziły. Z tąd powstawały te potworne pomyłki, iż kiedy kto pisał o arystokracji, jeżeli niewypisał się wyraźnie iż arystokratów trzeba wydusić, miano go za arystokratę, kto pisał o socjalizmie niemówiąc że mu socjalizm jest zgrozą, miano go za socjalistę i t. p. Kończyło się zawsze na tem że o niczem się nieprzekonawszy, nic się nie nauczywszy potępiano lub wychwalano tego którego miano za arystokratę lub socjalistę. Dzienniki czytano więcej przez ciekawość niż z rzeczywistej potrzeby, zgromadzano się i rozprawiano także więcej w osobistych widokach niż pospólnych.

Niebyło to więc jeszcze rzeczywiste życie polityczne a wszelako już ów niedojrzały ruch zaczynał wywierać nieposlednie skutki na oświatę. Jakkolwiek bądź zwichnięty był kierunek całego ruchu politycznego w ówczas, przecież w życiu publicznem najwięcej wpływu mieli ludzie najbardziej wykształceni, chociaż niezawsze na czele stawali.

Ztego już dostatecznie poznać było można, jak ważną rzeczą dla życia publicznego jest umysłowe wykształcenie. Jeszcze bardziej jednak pokazuje się to tam gdzie życie publiczne jest trwałe, uporządkowane, uregulowane jak to jest we Francji, Anglji, Szwecji z Norwegją, Belgji, Hollandji — krajach jedynych szczerze konstytucyjnych w Europie a St. Zjednoczonych w Ameryce.

Gdyby w tych krajach niebyło bardzo wygórowanej naukowej i umiejętnej oświaty, to już ustawiczny ruch polityczny, zycie publiczne, udział większej części obywateli w sprawach narodu, czyni koniecznem wielkie *rozszerzenie* tego miernego praktycznego wykształcenia bez którego można się obejść w życiu domowem ale nigdy w publicznem.

Gdzie każdy obywatel ma prawo myślić i mówić o sprawach narodu, tam jeżeli jest bezczynnym

i obojętnym dla tychże, bywa i pogardzonym, z ogółu wyłączonym, staje się społeczną nulą. Gdzie zaś życie polityczne samo stoi na zerze lub niżej, tam wolno całemu narodowi być nulą pod względem polityki, a z tąd: pod względem oświaty. — Podróżni nasi zadziwiają się iż w owych krajach każdy chłop ma zdrowsze zdanie o stosunkach politycznych, polityczno - ekonomicznych, handlowych nawet prawnych swego kraju niż u nas światli ludzie. Tam każdy obznajamia się z tem nie przez czczą ciekawość, lecz z potrzeby, bo ma prawo i czuje obowiązek wywierania choćby bardzo oddalonego wpływu na sprawy swego kraju, swojej gminy.

U nas niema potrzeby tego. „Na co się przyda prywatnemu mieć wiadomości geograficzne i statystyczne o Galicyi, znać historję tego kraju, mieć wyobrażenie o polityce, ekonomji politycznej albo o prawie krajowym, o stosunkach handlowych i przemysłowych, na co się w ogóle przyda oświata nawet znajomość dokładna własnego języka, a tem bardziej obznajomienie się z własną literaturą? Chleba z tego jeść nie będzie, wpływu na sprawy kraju mieć nie nabędzie; majątku jeżeli ma jaki, nieprzysporzy, owszem traci jeszcze czas potrzebny do zajęcia się domowemi sprawami na czytanie bezpożyteczne.

Takie zdanie jest dość panujące, i chociaż każdy oświeceńszy ze zgrozą słucha tego, chociaż go niepodziela, to jednak mimo chęci i wiedzy często większość niem się kieruje. Dlaczego? Bo, poważam się powiedzieć, jest to zdanie w naszych stosunkach bardzo naturalne i wynikłe. U nas literatura polska i wyształcenie narodowe jest rzecz zamiłowania, rozrywki, patrjotyzmu, poświęcenia; lecz niebyła dotąd, a póki się nieobudzi życie publiczne, niebędzie rzeczywistą potrzebą życia naszego.

Jak będziemy mieli krajowe sejmy, gminy miejskie i wiejskie *zwybieranemi* urzędami na czele, sądy publiczne i przysięgłych; wtedy może trochę za pożno wprawdzie lecz da sie niejednemu uczuć jak wiele traci przez brak, niechcę mówić oświaty ale przez brak obznajomienia zię z płodami krajowego piśmiennictwa. Bo jeżeli zasiądzie w gronie przysięgłych i niebędzie w stanie zrozumieć prostego toku sprawy, jeżeli w zgromadzeniu wyborczem niepodoba mu się zdanie którego z mówców a on nawet swych myśli wysłowić nie zdoła, i będzie musiał uledz umysłowej przewadze często nieprzyjaznego sobie człowieka, lub jeżeli zacznie mówić i wybąknąwszy jedno: „*ponieważ* — będzie musiał stanąć dla braku myśli i słów — wtedy nie jeden poczuje żal i wstyd że nie włada językiem i myślą, że zbyt mało się kształcił aby zapobiedz wpływom innych, które za szkodliwe poczytuje.

Terroryzm zdań, panowanie krzykaczy na które się skarżono u nas w r. 1848 pochodziło jedynie ztąd iż ludzie często światli w swoim zawodzie, posiadający nawet wiadomości naukowe i praktyczne, niemieli wykształcenia które nadaje tylko obczytanie się w literaturze, nie mieli łatwości zebrania swych myśli i wysłowienia się.

Nieudolność nasza pochodziła ztąd iż nasze zgromadzenia składały się z dwóch ostateczności ludzi *ograniczonych*, t. j. albo zupełnie głupich albo wykształconych jednostronnie, nieznających nic więcej jak tylko to co w ich zawód wchodzi. Tak mieliśmy zawołanych gospodarzy wiejskich którzy nieznali wszelako nic więcej jak *swoją* glebę, *swoją* gorzelnię i nawet tyle wykształcenia niemieli aby swój własny interes gruntownie i przekonującym sposobem bronić; adwokatów bardzo dobrze znających ustawy tyczące się stosunków prywatnych a nieumiejących nawet replikować na polityczne lub polityczno-ekonomiczne zdania często dowcipniejsze niż zasadnicze; bezczelniejsze i śmielsze, niż prawdziwe i trafne; księży, uczonych, urzędników zktórych każdy byłby ozdobą ambony, katedry, biura: a tam gdzie się zdania ocierają, gdzie chodzi o gotowość myśli, łatwość wysłowienia się, albo niemieli dość siły moralnej by znieść spokojnie sprzeciwienie się i takowe spokojnie zbijać, albo niedość wykształcenia niedość znajomości krajowych stosunków i biegłości w języku by na polu życia publicznego wynurzać zdania trafnie przekonując i jasno.

Czuliśmy w ówczas żywo skutki tych wad, ale zamało mieliśmy czasu by się zastanowić nad środ-

kami usunięcia i wytępienia ich, by uczuć powszechnie potrzebę pozbycia się ich. Wkrótce wtrąceni zostaliśmy w bezczynność polityczną, i straciwszy sposobność uczuwania naszych wad, staliśmy się obojętnymi na nie, zostajemy z niemi, nawet brniemy w nich co raz gorzej.

Gdyby ów ruch życia publicznego był dłużej potrwał, bylibyśmy coraz żywiej czuli brak i potrzebę *narodowego wykształcenia*, rozpowszechnienia dokładnej znajomości naszego języka, naszych krajowych stosunków, i tej oświaty nie tyle ścisłej, naukowej, bo ta niemoże być udziałem wielkiej ilości ludzi, ale owej posredniej którą się nabywa przez czytanie pism popularno-naukowych, beletrystycznych, krytycznych. Jednakże aby wykształcenie takie można zwać narodowem, muszą owe pisma być samorodne t. j. niekoniecznie oryginalne ale też i nie proste tłumaczenia, lecz zastosowane do krajowych potrzeb i stosunków, pisane w kraju przez krajowców. —

Lecz teraz chociaż jest ogromny brak tego rodzaju pism, nieczujemy ich potrzeby. Znajomość dokładna języka jest zaledwie dla księdza i niektórych nauczycieli potrzebą życia. Dla prywatnego zaś chyba dla tego aby się niemusiał wstydzić swej niewiadomości w jakiem kole towarzyskiem. Nad to łatwo jest wznieść się, łatwo niebywać w tych kołach, i żyć tylko z takimi, którzy od nas wyższego wykształcenia niewymagają! Więc aby się u nas literatura podniosła, czekajmy jedni z czytaniem a drudzy z pisaniem, aż się rozpocznie kiedyś życie publiczne u nas, aż będziemy mieli swoje sejmy, swoje urządzenia gmin, polskie szkoły i td. (?) a tymczasem żyjmy bezczynnie, bez udziału w umysłowem życiu — bo na cóż nam się przyda.

Zaiste zdaje się to być wniosek bardzo naturalny i słuszny, przynajmniej, jak to mówią bardzo *realny*, t.j. zmysłowo - realny, lecz niewszyscy się na to zgodzą i jeden drugi powie: *przecież jest obowiązkiem naszym niezasypiać sprawy, i chociaż niema życia publicznego, przecież dźwigać piśmiennictwo i umnictwo i oświatę narodową.*

Cóż więc czynić ? Łatwo na to odpowiedzieć. Idąc za przykładem królestwa polskiego, ks. Poznańskiego lub Czechów, należałoby aby rząd lub prywatni złożyli fundusz na utworzenie towarzystwa przyjaciół nauk i sztuk, aby to zapewniło członkom oddającym się naukowym lub artystycznym pracom przyzwoite utrzymanie.

Gdzie indziej czynią to rządy — w naszych stosunkach spada to na prywatnych.

2^{gie} projekt dawno przez *ks. Jerzego Lubomierskiego* ogłoszony (Towarzystwo na wzór maticy czeskiej) mógłby raz wejść w życie.

Gdzie indziej wspierają rządy podobne rzeczy — u nas wypada aby prywatni przynajmniej początek zrobili.

3) Jeżeliby za wiele było wymagać aby prywatni ponosili ciężar zakładania szkółek, i szkoły nauczycieli; lub aby założono we Lwowie z prywatnych środków rodzaj uniwersytetu polskiego jak niegdyś w Poznaniu; niechby przynajmniej zapewniono sobie w każdym ważnym przedmiocie jednego polskiego prywatnego docenta przy Uniwersytecie lwowskim, przez wyznaczenie mu pewnego stałego dochodu z prywatnych środków. Że takie rzeczy do rządu należą nikt nie wątpi — ale kiedy rząd tego nie czyni, więc nam wypada działać.

4) Nareszcie niechby się utworzyły *towarzystwa czytające po polsku*, w którychby każdy członek płacił pewną niewielką ilość miesięcznie, zato aby mógł mieć do czytania wszelkie polskie dzieła, i niektóre na własność nabyć.

Otóż cztéry projekta — jednak wiemy dobrze, iż w kraju który nieczuje potrzeby ani na teraz ani dla przyszłości wzmagać narodową oświatę, bo niema życia publicznego; w kraju z resztą gdzie podobnym zabiegom tyle innych przeszkód w drodze stoi, o których tu bliżej mówić niemożemy, są słowa wyrzeczone jeszcze do tego przez człowieka, który sam należy do niebezpiecznej i podejrzanej klassy literatów — głosem wołającego na puszczy.

———

Jakem syn obywatelski!

. . . . protestuję
Przeciwko zdradzie haniebnej Ichmościów!
Jako Rzymianin z zamku ustępuję,
Mieć nie będziecie nawet moich kościów.
Tu mi zapewne czytelnik daruje
Trochę w tej mierze niegramatyczności.
Jul. Słowacki.

Uderz w stół, nożyce się odezwą.

Ustęp niespodziany.

„Sodoma i Gomora!.. krzyknęło kilku szanownych literatów od szarego końca zaraz za pojawieniem się początku tej powiastki w poprzedniczym numerze. „Czy kto słyszał kiedy aby pisano: żę się lało *ciurkiem!*, a cóż dopiero *że szydełko mignęło swą kóską*. O! Sodoma i Gomora. Jak Lwów Lwowem, coś podobnego jeszcze nie bywało. To jakaś moskiewszczyzna; tych wyrazów nie ma w żadnej gramatyce, w żadnej stylistyce polskiej już wydanej i jeszcze wyglądającej. Co „Czas" na to powie!... Oj! dopieroż to będzie..... strach nawet pomyśleć.....”

Takie głosy rozeszły się z szanownej tuby panów krytykarzy. Autor umie ocenić ich rozpacz i gniewy, i spodziewa się, że i „Czas" będzie miał słuszny wzgląd i litość, i za grzechy jednego nowatora nie zechce dręczyć tyle dusz niewinnych. Autor zaś z swojej strony dla większego zaspokojenia zaręcza, iż nie będzie już odtąd pisać: *ciurkiem jeno kapkiem.*

III.

. . . . . ! poki ty duszę anielską
Będziesz więziła w czerepie rubasznym,
Poty kat będzie rąbał twoje cielsko,
Poty nie będzie twój miecz... strasznym,
Poty mieć będziesz hyenę na sobie,
I grób — i oczy otworzone w grobie.
I. Słowacki.

Któż zliczy wszystkie znajomości jakie młodzieniec tak łatwo zabiera z swymi rowiennikami, z optymistami różnego wieku, a tak chętnie z kwiatami z wonią i bez woni? Kto zgadnie ile się razy sparzy pokrzywą nieszczerości, zakole cierniem rozkoszy, upoi wonią śrebnych promyków księżycowych i szałem własnej wyobraźni? Widun modrookiej nadziei upędza się za śladami lubej Witezianki, rzuca u stóp jej głowę zagorzałą, płomieniste swe serce, dni swoje w biały kłębek nawinięte które z prawa doń nie należą samego. Daje jej gorące łzy swoje, spokojność swych nocy, słowicze pieśni od serca, a z oczmi i lepszą połowę swej duszy, żądając tylko drobnego z rąk jej kwiatuszka — gdyż więcej zwykle nie jest mu sądzono. I przytem nieszczęściu jakże jeszcze szczęśliwy, jeźli tylko umie zachować niepokalaną pamięć tej miłości, a nabujawszy się w krainach skowrończych pełnych ułudy, nie rozmiłuje się z równym zapałem w zaczarowanym urokiem ziemskich ponęt ogrojcu. Szczęśliwy! jeźli tam zdoła przywieść do ładu rozstrojony gwałtownemi akordami umysł swój, wybierze sobie z pośród mnogości ziela jeden ulubiony kwiateczek, wdzięczny i wonny. Nie całkiem jeszcze zginiony, jeźli poskromi swe żądze zrywania kwiatów w snopek żniwiarski, i jeźli upatrzona gałązka przyjmie się i rozraduje woniejącym kwieciem!

Tur Boha a bohatyr tej rzeczy wszedł był przez furtę zorzanych dni swych do tego zaklętego ogrojcu, i zaraz na wstępie podał usta swoje bujnolistnej centyfolii, która k'woli brylantowych oczu i korali ust jego złożyła zdradnie kolce swe i kolnszki, a on znów dla słodyczy jej woni przytępił w sobie zmysł dla świętości lilii — serc niewinnych kochanki. I już róże tylko piastował w swem sercu, pokąd najpiękniejsza z nich rozrosłszy się głogiem w piersi pożądliwej, nie zabrała mu do reszty szczęścia i spokoju. Tymczasem utracał on już drugą wiosnę od czasu napomnień ojca, żyjąc wesoło, hulaszczo, zwłaszcza przy podźwięku śrebrnych uczuć czarnookiej swej doli. Mieszkał osobno z drugim młodzieńcem, a ze wszystkich znajomości jedynie w tym współmieszkańcu swoim znalazł anioła stróża. Inne koleżeńskie albo się wcześnie zrywały, albo go wiodły do zguby. Z tych należały do ściślejszych:

1. Zwinny Adryanek *Wieża*. Ogromny z nazwiska, malutki wzrostem, a co do budowy ciała szczuplutki. Zresztą-by uszedł, gdyby nie olbrzymia znów w nim zarozumiałość, parząca opryskliwość, a nadewszystko przewrotność myśli i nieczystość serca. Stroił się przesadnie i podstawiał obcasami pięściowemi, a kłeby i łytki odymał watami. Według własnego mniemania był on jednym z najniebezpieczniejszych dla płci pięknej; jednem spojrzeniem, niewielą rzuconemi słówkami podbijał najniewinniejsze serduszka rozpłomieniając je na umor miłością. Dawał też godzinami lekcye francuzkie, całemi zaś nocami grywał we wszystko w co się tylko dało grać na upatrzonego.

2. Spiridion *Urowiecki*, a właściwie Urowiec. Młodzieniec smętny, rosły, kościsty, twarzy szerokiej, nosa zadartego, śniadej cery. Biedny jak ruda mysz, lecz zawsze jednostajnego humoru. Główną wadą jego była nadętość i fałszywy wstyd swego ubóstwa i rodu, zaletą zaś pilnowanie nauk na kursie prawniczym. Ojciec stolarz na wsi i zarazem szynkarz wspierał go bielizną i bótami, zresztą starał się sam na siebie przepisując czasami adwokatom wyciągi tabularne, a zwykle korepetycją. Cenił modne ubranie, choćby mieć jeden tylko garnitur. Dlatego też ubior jego letni zjadał zwyczajnie zimowy, z którym nierozstawał się aż około sobótkowego Jana świętego, a gdy mu słońce już nadto przypiekło, wdziewał w zamianie tandytny kwakr kamlotowy z gulowatemi guzikami, i świecił się w nim

znów do wszystkich świętych. Zresztą z Adryanem Wieżą brat za brat i nierozłączony przyjaciel.

3. Pan *Wabicki,* dzus lwowski. Młodzian od niedawna pełnoletni, okazały brunet, ładny i składny. Zaczynał już przepłaszać drugą połowę z swej niewielkiej szedy, wybierając u dawniejszego swego opiekuna a później szego dłużnika drobne kwoty lecz częstemi ratami. Żył bez celu, i rad udawał wielkiego panicza. Toż się tak rządził zupełnie jak jego wzory. Liczył się tylko tyle, aby mu z reszty ojcowskiej spuścizny pozostało jeszcze na kupno czterech koni i najtyczanki, wybierając się kiedyś w przemysłową podróż za posagiem. Wielki przytem wielbiciel szlufowanych palców pana Adryana a dobrego tonu Dylągiewicza, i dla ich tylko przyjaźni tolerował smętnego Spiridiona.

Trójka ta przypadła różanemu junakowi do serca, a raczej zpoufaliła się z nim nieznacznie, najbardziej z tej miary iż każda zosobna jej jednostka przyznawała się do szlachectwa—biorąc je w znaczeniu nowszem »Syna obywatelskiego«, gdyż po prawdzie samo szlachectwo lub odwoływanie się do niego utraciło dawno już wszelki urok i niegdajsze swe znaczenie.

Owoż w trójce tej potrajającej się setnym likiem i podrzyźniającej znów innym trójkom właściwych przed rokiem 1848 u nas synów obywatelskich, bawiących się w zagraniczne dandysowstwo, strona odwrotna obrazu młodzieńczych zalet, cnot i bohatyrstwa. Strona ta obrazu zaledwie dotknięta — a jednak!... I w tem „jednak“ cały ogrom śmieszności i jeszcze coś gorszego: morze łez krwawych, niewygasły wulkan klątwy generacji późniejszych!

IV.

Kto świata służy — marnie czas traci,
Bo świat fałszywą monetą płaci:
Wprzód słudze swemu spokój zamąci,
Potem go z torbą za próg wytrąci.

Długi, złoty dzień czerwcowy miał się ku schyłkowi, gwar miasta już był zgłuchł znacznie, a mieszkańcy złożywszy urzędową swych dziennych zatrudnień fizjonomię przybierały wyraz jej więcej spokojny — wpół-swobodny, na pół uroczysty, i wysypali się rojem na miejsca publicznej przechadzki. Dzusy lwowscy zaczynali pojawiać się liczniej, w białych rękawiczkach, z rubaszną pretensją rojnego serca a pustej głowy, z całym przyborem i zapasem olbrzymiej swej próżności i egoizmu.

Damy wielkiego i mniejszego świata wypłynęły z zaciszy domowej w całym blasku swych strojów i urody świeżej jeszcze lub zniknęłej już z latami: jedne chcąc odetchnąć chłodem wieczornym, inne dla pobożnego zwyczaju popieszczenia się z własnem serduszkiem i z poufnikiem swych uczuć, bladym i tęsknym od miłości księżycem....

Blask śrebrny tego starego romantyka zlał się był właśnie w tej cywili magnetyczną swą wonią na alabastrową skroń pięknej kobiety, której tytuł hrabiny dodawał w oczach Dylągiewicza tem większego jeszcze uroku, a ją samą pobudzał jak na to do dziwacznych tylko pretensji i zachceń, wiódł do pstrej wyobraźni, do zbytków, a w końcu przez niesmak do nieuleczonego przesytu. W budoarze błyszczącym się od niezliczonych świecidełek, wykobielonym jedwabnemi makatami, wyścielonym kwiecónemi kobiercami, woniejącym zapachami wschodu — tonęła pieszczoszka ślepego szczęścia na aksamitnej ottomanie, jakby unoszona na skrzydłach wniebolotnych żórawi. Przed nią stał młodzieniec piękny jak żóraw niebiański, chłonąc promienistym wzrokiem pieszczone jej wdzięki, zachwycając się dźwiękiem słowiczego głosu a gubiąc w błędniku własnych uniesień i w złotych sidłach tej nowoczesnej Belwanny — dawnej bogini miłości Sławian korabowych.

Po uniesieniach nastąpiła cisza chwilowa. Hrabina pierwsza ją przerwała; duch jej bowiem excentryczny nie mógł długo bawić się rozmyślaniem, a serce miała jeszcze nie zwiędłe, pragnące wiecznie rozrywek, rozkoszy, a dla odmiany znów rozkoszy i rozrywek, pustoty i zbytku.

— Monsieur Emiljanku!.... wiesz co?!... nie!.... nie powiem ci tego. Zdaje mi się, iż mam migrenę. To wcale nie dowcipna słabość, — zawsze mi humor popsuje zupełnie. A?... i wzniosła główkę z pańska, chcąc tem dogodzić śmiesznemu a u naszych samozwańców arystokratycznych dość zwykłemu kaprysowi, i dodać sobie godności. W tej bowiem chwili słówko »Ty« zdawało się jej zbyt poufałe, a »pan« za nadto grzeczne, z »Acanem« zaś trudno jakoś było wyjechać....

Zagadniony w ten przykry sposób młodzieniec małego doświadczenia odrzekł sentymentalnie: O! mnie nigdy głowa nie boliwa, za to więcej serce....

Serce? — przerwała hrabina. Takie młode, przy tak szczęśliwej twarzyczce, i miałoby boleć? Brak doświadczenia.... nic więcej! A może nierozwaga, — tem ci gorzej. (Z ironicznym uśmiechem). Ledwie nie przyszłoby wnosić nareszcie o przyczynie tego nieszczęścia i może się do niej a raczej do „zgubnych wdzięków“ poczuwać! (Z powagą) Lecz ileż mnie już od dzieciństwa nanudzono — chociaż i pięknością niewypada gardzić. Czyliż jednak mam się dlatego nią tylko i jej skutkami zajmować, ja.... co przenoszę dowcip nad urodę.

I zamyślała się nieco, gdy własne serce zadawało jej fałsz w tej chwili i poszeptywało dość niegrzecznie: »A nowość nade-wszystko«...

— Oh! ja chciałbym...

... Zabrać mi wszystkie moje róże — nieprawda? O, nie wypieraj się — rzekła hrabina wychodząc z dawnej roli i przybierając godność absolutną z wyrazem łaskawej niechęci —

więcej nawet: chciałbyś przygasić blask zbyt może żywych oczu, ująć mi trochę pustoty, poskromić mój dowcip, zpoważnić mnie głębokiem uczuciem. Widzę, żeś już nie dziecko — nie pieczczoch? Wstydź się! Twoje serce już stare, samolubne!... Nie przyjmuję obrony — dziś najmniej....

Spojrzawszy jeszcze w stojące zwierciadło — odeszła.

Co za cudowna istota — westchnął junak nasz za uchylającą się hrabiną — jak słodka, jaka luba. Co za układ anielski, ileż wdzięków, dowcipu! Oszaleję jeszcze dla tej kobiety — oh! anioła, niebianki!

Hrabina usiadłszy tymczasem w drugim pokoju przy fortepianie zaczęła od ulubionego wówczas marszu z Puritanów, po kilkunastu taktach wichrzyła mazurkiem Chopina, i znów urwawszy, kończyła iwprowizowaną własną fantazijką.

Przeniosła się do gabinetu, gdzie przy machoniowym biórku napisawszy króciutki bilecik opieczętowała go i zadzwoniła.

— Ubierać mnie... wyjadę.

Przed samym odjazdem powierzyła Juleczce — jednej z panien swych garderobianych bilecik. Oddasz to lubciu memu kuzynkowi — w bawialnym pokoju... zaraz... nie, nie,... tak za chwilkę.

Wyjechała, i zapomniała o wszystkiem — co w domu. Gdzie pojechała — niewiadomo. Do teatru: za parno, za nadto piękny wieczór; na wizytę herbacianą — za wcześnie, na spacer za późno. Dokąd zmierzała, trudno odgadnąć; śledzić ją — byłoby niegrzecznie.

Tymczasem młodzieniec trawiony szałem romansowym, gdyż miłością nazwać to się nie godzi, doznawał jakiejś niewysłowionej tęsknoty w swem sercu. Było to podobno chwilowe poczucie błędnego kierunku myśli i serca, i odgadywanie koniecznych ztąd prędzej czy później następności nie miłych. Słusznie czy przesądnie mianują to także przeczuciem.

Dostrzegł on odjeżdżającą w powozie hrabinę, nie mogąc sobie wszakże tak nagłego jej odjazdu wytłumaczyć. Gdyby był miał więcej nieco doświadczenia, lub gdyby tylko mniej był rozmiłowany, poznałby łatwo co się święci. Byłby się spostrzegł, że piękna hrabina była znudzona — nim... jego sentymentalnością: że wypadało mu korzystnie się usunąć, lub stać się nowym, zajmującym, nieprzeniknionym, potrzebnym. Błąd jego atoli był już nie do naprawienia; wydał się w oczach damy salonowej śmieszny, nudny, pretensyonalny — a jedno z tych trzech wystarczało już do jego upadku w sercu tak kapryśnem. Lecz Dylągiewicz oprócz innych wad moralnych podlegał jeszcze niedarowanej dla światowego młodzieńca dumie drażliwej. Duma podobna łączy się zwykle z próżnością i śmiesznym uporem, a wyradza się w końcu w nieznośną zarozumiałość i samolwone niedołęztwo. Taką chorobliwą dumą unoszący się młodzieniec popełnia niezliczone błędy, upada stopniami i sam się niepostrzeże, kiedy dopuści się wkońcu nikczemności. Wszelkie bowiem exageracje i ostateczności do takich wiodą przepaści.

Ocknął się nareszcie jakby ze snu trapiącego, i chciał już z gniewem opuścić mieszkanie hrabiny, układając w rozbujałej swej myśli rozmaite projekta poddawane mu przez szalejącą zawiść. Na progu atoli wstrzymał się na widok anioła w białej muszlinkowej mantylce.

Tym aniołem była Juleczka — jeżli cudownie piękną i niewinną dziewicę można nazywać aniołem. Bo jużci i szatan był kiedyś piękny — nawet niewinny, i zwał się także aniołem. Czemużby odmawiać anielstwa tak jasnej jeszcze dziewicy? Tak jasnej tak pięknej!

Lecz jeżli niewinność podlega zawsze najściślej oznaczonym warunkom, to piękność jest tylko względna, a przynajmniej oddziaływająca jej siła. Piękności mianowicie niewieściej są różne stopnie, wieloraki kombinacje, nie jeden wyraz, choć zawsze jeden i jednakowy objaw. Teorja-to zresztą zawiła, gdyż wchodzi w nią gra najsilniejszych namiętności.

Piękność Juleczki gasła na razie przy kwiecistym blasku urody hrabiny, przy ściślejszym jednak rozbiorze odniosłaby niezawodnie zwycięztwo. Postać hrabiny wyniosła, toczona, — formy jej pełne, jędrne, gładkie jak alabaster; ruchy swobodne pewne i drażniące zmysłowość, wzbudzały uczucia namiętne. Białość jej owalno-pełnej twarzyczki, połysk i woń tak zwanych myszastych włosów, sentymentalność wzroku, promieniste spojrzenia niebieskich oczu, tok dźwięczny jej mowy, wykończone, rozraniające ułożenie czarowały od razu.

Inaczej przedstawiała się krasa Juleczki. Postać jej wiotka, szczupła, dopiero rozkwitająca, nie śliniła uderzającym powabem. Twarzyczka jej będąc zbiorem szczególnych piękności przedstawiała dopiero po dłuższem rozpatrzeniu się cudowny obraz piękności form i niewieściego uroku, wymagającego prawdziwego znawcy. Widok jej ogrzewał zwolna, lecz zdolny zażegnąć wieczny żar w męzkiem sercu, i dlatego daleko był niebezpieczniejszy. Główka wydatna z niskiem lecz otwartem czołem i pięknie sklepioną skronią połyskiwała hebanowym, gęstym i długim włosem w bujny koszyk splecionym; twarzyczka u góry szeroka zwężała się dalej w formach symetralnych, i kończyła się małą bródką niewypowiedzianej piękności. Oczy czarne a jak rubin świecące, długiego, równego — słowem orjentalno pustyniowego wykroju, z rzęsą gęstą, promienistą, brwią czarną, obłękową, gładką — miały wyraz łagodnej tęsknoty za nieucieleśnionym jeszcze ideałem serca, nieodgadnioną zupełnie jego tajemnicą. Usteczka wydawały się na pierwszy rzut oka trochę może za szerokie — mianowicie w stosunku do niższej części jej twarzyczki, gdyż w poró-

wnaniu z wyższą harmoniowały jak najzupełniej, a przytem były wywinięte prześlicznie, i zakwitały ciemno-purpurową barwą. Płeć miała gładką, ciemnawą, przezroczystą, z rumieńcem kameliowym, lecz w płci tej niebyło najmniejszej żółtości, najdrobniejszej plamki, szyjka zaś zwyciężała białością kwitnące jej lica.

Kończyła dopiero szesnastą wiosnę, cały jednak wyraz jej twarzy znamionował przedwczesną na tak młode lata powagę myśli, i stateczność uczuć. Takie wdzięki zdają się być stworzone za ich zupełnym rozkwitem tylko dla nieba, a między tą porą dla jednego tylko śmiertelnika — i to na krótki tylko czas, na tak długo, póki się w nich nie rozmiłuje szalenie — na zawsze.

W powszechności wywiera piękność podobna szczególne na serce męzkie wrażenia, jeźli tylko serce to zdolne jest do wznioślejszych i stałych uczuć, i umie ocenić piękność form wyrażających daleko więcej niż ogółowa piękność powłoki, która zwykle gaśnie w niedługim czasie, nikłe tylko po sobie zostawując ślady. I nie dziw też, że dla rzadkości południowych u nas piękności znajdują niekiedy piękne żydówki i cyganki stałych wielbicieli swych wdzięków. Bo też trzeba znać cały do wysłowienia trudny urok tych wdzięków, i niedoścignioną tajemnicę objawu ich miłości; chociaż zresztą brakuje im częstokroć właściwego jeszcze wdzięku uśmiechu, wdzięczniejszej i słodszej wymowy — a zwykle i ułożenia świetnego.

(Powiastka ta drukuje się osobno. Szanowni prenumeratorowie życzący sobie mieć dalszy jej ciąg i koniec w formie dodatku do Tygodnika Lwowskiego raczą przesłać do poniż wymienionej drukarni 15 kr. m. k.)

Korespondencja literacka.

Dąbce pod Krakowem d. 19. Wrześ. 1850 r.

„Cierpienie to życie" wyrzekł któryś z uczonych naszych. Jeśli wierzyć mamy tym słowom, jakież by było kwitnienie nasze w obecnej chwili! Spojrzawszy na Kraków, wpatrzywszy się w jego rdzeń moralny, trzeba zaprzeczyć tym słowom. Wycierpieliśmy wiele i wiele — miasto nasze od kilku lat stało się jakby wielkim grobem — a teraz zwaliły się do reszty gotyckie kolumny, spadły nagłówki mięszając się z gruzem i niema szczytów, ale kupy kamieni powleczone mogilnym pyłem, i niema ludzi ale mumje żyjące, przesuwające się wśród grobów. Nie ma życia między panami, bo ich boleść dolega a wynoszą się do włoskich, karlsbadzkich, salcbruńskich i marjenbadzkich źródeł — nie ma iskierki żywotnej siły między szlachtą; bo jak mnichy wołają jednym chórem: „Biada nam, nie ma pańszczyzny!" a nie myślą jakby wydobyć z ziemi grosz nie cudzą ręką, ale własną spekulacją i nauką. — Niema życia między młodzieżą, bo ledwo nie echo odpowiada w wszechnicy na głos professora, bo młodzież woli wiedeńskie i pragskie kawiarnie i kawiarki, niż przestąpić progi poważnej Jagielońskiej wszechnicy. — Nie ma życia między mieszczanami, bo smutni, z blademi licami chodzą koło gruzów spalonych domów zaglądając kiedy niekiedy w wiekuisty *Czas* by się dowiedzieć ile składek spłynąło do kasy pogorzelców.

Tak zaiste! śmierci śmierć we wszystkich zakątkach miasta naszego. A że u nas nie wesele ale pogrzeb, toć dowód oczywisty, wszak tylko za trupami ciągnie mnichów czereda. Dopokąd żyliśmy i myśleli, nie było katolickich nakładctw i zakładów; znać pleśń grobowa pokryła nas, gdy szanowny Arcybiskup katolickiego grona postawił nas już na sąd przed Boga i chorem zapiał: Requiem aeternam. Biją dzwonki po kościołach, paciorki rożańca przewijają się po paralitycznie drgających palcach — a z kazalni brzmi głos: „do pokuty; posypać głowy popiołem!" A na co popiół na głowy sypać, gdy go w głowie już dosyć? Do pracy! do nauki, a spadnie bielmo z oczów, stanie się światło i Bóg będzie z nami; bo Bóg nie tam mieszka gdzie przedają *majowe* i marcowe nabożeństwa, ale tam gdzie ludzie przez pracę dobijają się światła które samo tylko jedno zbliża człowieka do Boga. Cóż to może u nas świadczyć o życiu i myśleniu? Wejdźmy do księgarni — ani dzieł ani czytelników, kilka książek przez kilka lat — trzy zeszyty roczników uczonego Towarzystwa, dwa numera pisma rolniczego organu wolno czyli pomału myślącego areopagu rolników — *Czas* wiecznie liczący z całą czeredą lekkomyślących, niedbałym krokiem doganiających go *Dodatków*. Ot i wszystko! Przyjdź z małym koszykiem do księgarni a zabierzesz foljały co je wypracowało przez kilka lat gniazdo Jagellonów — przykryj koszyk, bo wiatr te płody uczone gotów roznieść po wszem świecie. — Otóż to ma być dowód życia umysłowego, dowód pracy, wytrwałości cierpienia i nadziei! Przypatrzmy się tylko sobie, a wyznać musimy że nie rząd, nie urzęda i urzędnicy, ale my sami winniśmy naszej niedoli. — Ot, Warszawa, pod Kamieniem rządu samowładnego, a przecież nie zmartwiała i ogłuchła — żyje; bo o jej istnieniu moralnem świadczą pisma i owoce pracy nauki....

Pamflet! paszkwil! wołają ku mnie krakowskie powagi, cicho więc rzucam pióro, przesyłając ci te kilka uwag co przypadkiem bez pozwolenia i cenzury Arcybiskupa wyśliznęły mi się z myśli. **F. B.**

Redaktor: **Karol Widmann.**

Drukiem prassy pospiesznej **E. Winiarza we Lwowie**, przy ulicy krakowskiej pod l. 77.